

oburzenie. Autorytety, które trudno posądzać o antyniemieckie uprzedzenia, ostro skrytykowały wystąpienie E. Steinbach. Na przykład Anna Wolff-Powęska nazywała go dokumentem „aroganckim, cynicznym, niekompetentnym, demagogicznym i nieodpowiedzialnym”<sup>9</sup>, Paweł Huelle zaś – „bezczelną i arogancką próbą politycznego szantażu”<sup>10</sup>. Rząd niemiecki odciął się od wystąpienia E. Steinbach, podobnie jak niektórzy intelektualiści urodzeni na ziemiach obecnie znajdujących się w granicach Polski, ale opozycyjna chadecja nie zareagowała wyraźnie, gdyż „wypędzeni” stanowią część jej elektoratu. Stosunki polsko-niemieckie komplikuje także sprawa odszkodowań za pracę przymusową w czasie II wojny światowej.

Dzieje ostatnich dziesięciu lat w dużej mierze usunęły balast geopolityczny i historyczny ze świadomości obu narodów i pozwoliły na swobodniejsze kształtowanie wzajemnych relacji. Zła historia w stosunkach polsko-niemieckich została w dużej mierze przewyciężona przez fakty, które miały miejsce po 1989 r. Nastąpił wyraźny postęp w naprawianiu negatywnych stereotypów, ale wiele jest jeszcze do zrobienia w celu ugruntowania zapisanych w układzie z 1991 r. dobrosąsiedzkich stosunków między obydwojema narodami.

PETER STEINBACH  
Berlin

## SYMBOLICZNE FORMY PAMIĘCI

Kiedy śledzę jedną z licznych gwałtownych i nie kończących się dyskusji historycznych, to muszę zadać sobie pytanie, czy dla mojego kraju nie byłoby lepiej, gdybyśmy równie zapalczywie dyskutowali o zasadniczych problemach rynku pracy, o ubezpieczeniach dla przewlekle chorych starszych ludzi, o pomocy społecznej w trudnych sytuacjach, o szansach dzisiejszych studentów czy kosztach uniwersytetów, nie mówiąc już nawet o nowej doktrynie obronnej czy o reformie Wspólnoty Europejskiej.

Nie czynimy tego. W zamian dostarczamy sobie cierpliwie wciąż nowych, ujmowanych symbolicznie konfliktów i dyskutujemy od wielu lat o rytuałach wspominania, o pomnikach, muzeach, wystawach i miejscach pamięci, o hymnach i zwyczajach zawodowych.

<sup>9</sup> A. Wolff-Powęska, *Kuriozalny dokument*. „Gazeta Wyborcza” z 19/20 IX 1998.

<sup>10</sup> P. Huelle, *Pani Steinbach do sztabucha*. „Gazeta Wyborcza” z 26/27 IX 1998.

Dyskutujemy chętniej o formach wspominania niż o skutkach przeszłości, które musimy obecnie przewycięzać. Spieramy się też chętniej o pojęcia polityczne i niedostatki semantyczne niż o problemy integracji politycznej. Historia współczesna porusza nas mniej jako dzieje osób żyjących, a bardziej jako ramy dla imprez mających służyć opamiętaniu. Dni pamięci pozwalają sprawdzać się osobom prominentnym. Jeśli im się to nie udaje, zostają zdemaskowane. Dotyczy to całego spektrum politycznego.

Historia stała się widocznie elementem politycznym i dlatego zajmowanie się nią może być zabójcze dla kariery politycznej. Przynajmniej tak może to widzieć jeden z byłych prezydentów *Bundestagu*, który z powodu swojej uznanej za niezręczną przemowy musiał ustąpić ze stanowiska.

Od 1989 r. sytuacja skomplikowała się jeszcze bardziej. W dniu 3 października NRD przystąpiła do obszaru obowiązywania Ustawy Zasadniczej. Uczyniła to jako państwo ucieleśniające czterdziestoletnią historię, którego społeczeństwo ukształtowało nowe struktury społeczne, wzorce wartości i środowiska społeczno-moralne. Łatwo było wówczas powiedzieć, że ma się zrastać to, co do siebie przynależy, ponieważ niemiecko-niemiecka historia analizowana była do tego momentu przede wszystkim jako dzieje jedności, a nie dzieje podziału. Dzisiaj wymiary społeczne i polityczno-kulturowe podziału stają się dla nas wyraźniejsze niż w fazie jednoczenia się, przy czym raz jeszcze powstaje wrażenie, że różnice mentalne mają większe znaczenie od prawie wcale nie artykułowanych konfliktów interesów.

Wyczuwalny podział mentalny widoczny jest także w dwu odrębnych niemieckich obrazach historii, manifestujących się m.in. w miejscach pamięci utworzonych w obu dawnych państwach. Każde z nich nawiązywało do własnych tradycji, które były nierzadko świadomie tworzone, konstruowane. Tradycje te znajdują odzwierciedlenie w pomnikach, tak jak to miało miejsce we wszystkich fazach niemieckiej historii. Można rozumieć te pomniki jedynie wtedy, gdy udaje się odnaleźć ich związki historyczne. Ten sposób postępowania staje się wyraźnie widoczny na najbogatszej w pomniki ulicy Berlina: ulicy 17 czerwca 1953, ciągnącej się od placu Ernsta Reutera aż do budynku *Reichstagu*. Przy tej ulicy zobaczyć można pomnik Bismarcka, pomniki Roona i Moltkego, przesuniętą przez narodowych socjalistów kolumnę zwycięstwa, budowlę Speera, cokół ku czci pomordowanych żołnierzy radzieckich, zwrócony ku wschodowi posąg wołającej matki, stojący bezpośrednio przed Bramą Brandenburską, na której znajduje się kwadryga, będąca szczególnie emocjonalną reminiscencją wojny wyzwolenczej. Jeśli podążymy dalej, aleją Unter den Linden, to natrafimy na pomnik Raucha przedstawiający Fryderyka Wielkiego, przejdziemy obok pomnika barona von und zu Steina, miniemy Lustgarten z monumentem ku pamięci grupy ruchu oporu zorganizowanej wokół Herberta Bauma i w końcu dotrzemy do pomnika Marksa i Engelsa. Mnogość tych pomników uosabia historię Niemiec: ciężar, blask i brudy zebrane na trzech kilometrach. Można sobie wyobrazić, że po

każdej zmianie rządów i każdym załamaniu się jakiegoś państwa niemieckiego – od 1918 r. poprzez 1933 i 1945 po 1989 – wszystkie te pomniki i miejsca pamięci mogły być burzone. Przemawia to za nieprzecenianiem znaczenia pomników, ich spokojnym i dojrzałym tworzeniem.

Z drugiej strony trudno kwestionować, że tworzenie miejsc pamięci stanowi próbę aktywnego kształtowania obrazu historii. Mogą one coś uświadamiać, wzbudzać zainteresowanie. Niekiedy taka tematyzacja pozostaje w zgodzie z nastrojami społecznymi i przebiega całkiem bezproblemowo. Przykładami może być utworzone na początku lat 70. przez prezydenta Gustava Heinemanna muzeum wolności (*Freiheitsmuseum*) w Rastatt, mające uświadamiać tradycje demokratyczne obecne w niemieckiej historii XIX w., czy powstałe w NRD w latach 80. ogromne malowidło ścienne, mające przypominać o wojnach chłopskich. Inne próby kończyły się niepowodzeniem, zwłaszcza po proklamowaniu w dawnej RFN zwrotu polityczno-kulturalnego w 1982 r. Zaciekle debaty, jakie toczyły się wokół Domu Historii (*Haus der Geschichte*) w Bonn, Niemieckiego Muzeum Historycznego i bońskiego pomnika mającego upamiętnić ofiary czasów nazistowskich można bez wątplenia wyjaśnić reakcją na proklamowanie „zwrotu duchowego” i przekonaniem przeciwników tych zamierzeń, jakoby rząd chciał za ich pomocą zrealizować, a przynajmniej zademonstrować nową hegemonię kulturową. Zapomniano już o inicjatywach, które zakończyły się porażką, choćby o instytucjonalizacji zamku Hambach jako symbolu niemieckiego ruchu konstytucyjnego z ubiegłego stulecia. Debaty te były przy tym wyraźnie związane z państwem zachodniemieckim.

W 1989 r. zaniechano rozpoczętych w 1982 r. i wyrażonych szczególnie wyraźnie w sporze historyków kontrowersji typowych dla Niemiec Zachodnich. Zostały one zastąpione przez zmagania historyczno-polityczne, odzwierciedlające sprzeczności niemiecko-niemieckie, różnice rozwojowe i przymusy integracyjne. I okazało się, że oba państwa niemieckie w swej trwającej cztery dziesięciolecia powojennej historii wytworzyły nie tylko specyficzne wzory legitymizacyjne, odnoszące się do rzekomo pozytywnych nurtów w dziejach (tradycje), ale także upamiętniały swoją własną historię w specjalnych miejscach pamięci. Można to ukazać na przykładzie pomnika mostu powietrznego, ustawionego przed lotniskiem w Tempelhof, ale na wzmiankę w tym miejscu zasługują też pomniki ku czci ofiar stalinizmu czy krzyże mające przypominać o zabitych przy próbach przekraczania muru. Z drugiej strony istnieją specyficzne pomniki erdowskie, choćby monumenty Lenina, Thälmana czy Marksa, a także pomnik zamordowanych podczas służby żołnierzy straży granicznej NRD.

Po zjednoczeniu obu państw niemieckich miały miejsce krótkie, ale zaciekle debaty o ewentualnym usuwaniu pomników specyficznych jedynie dla historii NRD. Pewne znaczenie miało przy tym to, że w pierwszej fazie po przełomie, historia NRD interpretowana była jako pewnego rodzaju dzieje Związku Radzieckiego na ziemi niemieckiej. Pomniki Lenina uosabiały radzieckie roszczenia do

władzy, podobnie jak nazwy ulic czczące Lenina. Te ślady można było usunąć stosunkowo bezproblemowo. Większe kontrowersje wzbudzały obiekty i nazwy związane z kultem Marksa i Engelsa. Tu z reguły decydowano się pozostawiać pomniki. Za błędne należy uznać postępowanie z Różą Luksemburg, zainspirowane między innymi przez eneradowski ruch opozycyjny. Największe trudności nastęrczało postępowanie z pomnikami związanymi z historią NRD. Usunięto pomnik poświęcony żołnierzom straży granicznej zabitym przy murze po 1961 r., a także wiele monumentów ku czci Thälmana i Lenina. Zachowano głowę Marksa w Chemnitz, dawnym Karl-Marx-Stadt. Przemianowano miasta posiadające w swych nazwach jednoznaczne odniesienia do dziejów NRD, choćby Wilhelm-Pieck-Stadt Rostock. Podobnie uczyniono z uniwersytetami, takimi jak lipski uniwersytet Karola Marksa.

Zaciekle dyskusje budziły zmiany nazw ulic. Dotyczyły one zwłaszcza centrum Berlina, przyszłej dzielnicy rządowej. Nazwy ulic przypominające o Piecku, Zetkin i innych były badane przez specjalną komisję, która proponowała nazwy alternatywne. Mniej interesujące są przy tym uzasadnienia merytoryczne, bardziej zaś integracyjno-polityczne następstwa dokonanych zmian historyczno-politycznych. W sporach o nazwy ulic po raz pierwszy zaczęła się ponownie formować specyficzna tożsamość środowiska wschodnioniemieckiego. Konflikt o nazwy ulic nabrał wymiarów wewnątrzspołecznego konfliktu między wschodem i zachodem. Uwidocznily się tu zasadnicze wzorce pewnego konfliktu, w ramach którego próbowano wykorzystać zmiany nazw ulic jako instrument w walce o (częściową) hegemonię kulturową. Sprawilo to, że konflikt ten nabrał charakteru politycznego i wzbudził odpowiednio duże zainteresowanie: wokół skromnych tabliczek z nazwami ulic wydawały się kształtować tożsamości.

Znacznie trudniej było zadecydować, co zrobić z miejscami pamięci związanymi z czasami nazistowskimi. Chodzi przy tym przede wszystkim o obozy koncentracyjne Buchenwald, Sachsenhausen i Ravensbrück. Już od lat 50. były one świadomie kształtowane jako miejsca pamięci o charakterze antynazistowskim. Odwoływały się do tego samego obszaru pamięci, co podobne miejsca zorganizowane w latach 60. na terenie obozów koncentracyjnych w RFN. Jednakże trzy duże obozy koncentracyjne na terenie NRD związane są także z historią powojenną, ponieważ służyły one Rosjanom jako obozy dla internowanych. Dlatego też, zwłaszcza w kręgach „ofiar stalinizmu”, rozgorzała dyskusja wokół sposobu, w jaki można by jednocześnie ukazać dzieje tych obozów w państwie nazistowskim i ich funkcję w eliminowaniu przeciwników SED po 1945 r. Dochodzi do tego jeszcze historia tych miejsc pamięci w okresie powojennym. Zostały one świadomie zaprojektowane jako miejsca wspomnień i pamięci przydatne dla celów historyczno-politycznych, ukształtowane jako miejsca uroczyste. Ingerowano przy tym zarówno w ukształtowanie terenu, jak i w kształt budynków. Za najbardziej wyrazisty przykład takich zmian może służyć Buchenwald.

NRD definiowała się świadomie jako państwo antyfaszystowskie. To stwierdzenie nie miało przy tym jedynie funkcji historycznej, ale odnosiło się także do teraźniejszości. Ponieważ w przekonaniu przywództwa NRD w kapitalizmie tkwiły korzenie faszyzmu, opowiedzenie się za antyfaszyzmem stanowiło zarazem wskazanie na potencjalnie groźne, bo kapitalistyczne struktury na zachodzie. W Buchenwaldzie, podobnie jak w innych związanych z obozami koncentracyjnymi miejscach pamięci, czczono przede wszystkim uczestników komunistycznego ruchu oporu i europejskie ofiary narodowego socjalizmu, bo to one miały w sposób politycznie jednoznaczny uosabiać antyfaszyzm. Wszystkie te miejsca pamięci skierowane były przeciwko Republice Federalnej Niemiec. Nic też dziwnego, że sposób dalszego postępowania wzbudzał w latach 1989/1990 liczne kontrowersje. Wątpliwości budził ładunek ideologiczny, co można znów zilustrować na przykładzie Buchenwaldu i mitologizacji przysięgi buchenwaldzkiej. Niejasnym było też jak postąpić z podwójnie dyktatorską historią. Wreszcie chodziło o koszty: miejsca pamięci wymagały pilnej renowacji, nierzadko musiały być poddawane rekonstrukcji. Nie do przyjęcia były też koszty utrzymania zatrudnionego w nich personelu. Wszystkie te miejsca posiadały jednak wielką siłę symboliczną, która zyskała akceptację na zachodzie. Przyjęta przez federację koncepcja zorganizowania miejsc pamięci zapewniła niezbędne podstawy finansowe. Przekazała ona federacji ważne zadanie wspomagania miejsc pamięci o znaczeniu narodowym. Nie rozwiązało to rzecz jasna wszystkich kontrowersji politycznych. Zapewniło jednak dalsze istnienie dużych obiektów związanych z obozami koncentracyjnymi. Wyjaśnienia wymaga nadal przyszłość wielu mniejszych miejsc pamięci i lokalnych muzeów.

Obok usuwania pomników i zabezpieczania miejsc pamięci znaczącą rolę odgrywają w zjednoczonych Niemczech dyskusje na temat tworzenia nowych miejsc pamięci, muzeów i pomników. Kilka nowych miejsc pamięci utworzonych na terenie dawnego przejścia na granicy niemiecko-niemieckiej Marienborn/Helmstedt nie budzi kontrowersji, być może dlatego, że nie przedstawiono jeszcze żadnej koncepcji merytorycznej. Wartym uwagi przykładem jest dawne więzienie NKWD i *Stasi* w Berlinie Hochenschönhausen, wokół którego rozgorzał ostry konflikt polityczny pomiędzy związkami zrzeszającymi ofiary a kierownictwem naukowym placówki. Podobne spory wywołuje budowa miejsca pamięci w więzieniu w Budziszynie. Uwidaczniają się tu następstwa podziału, trudność z ukazaniem w ramach wystawy różnorodnych przyczyn prześladowania przeciwników NRD, ich odpowiednich tradycji. Wręcz groteskowo wygląda sytuacja w dawnym więzieniu Brandenburg-Görden. Zachowano wprawdzie ekspozycję przypominającą o ofiarach egzekucji nazistowskich, jednakże dostęp do niej jest bardzo utrudniony ze względu na rozbudowanie budynku. Odbija się to oczywiście bardzo negatywnie na pracy tego miejsca pamięci, które zatrudnia już tylko jednego jedyne go pracownika. W innych przypadkach, jak na przykład więzienia *Wehrmachtu* w Torgau, nie ma prawie wcale problemów. Kontrowersji

nie budzą tu treści, ale proporcje w finansowaniu przez federację i odpowiedni kraj federacji. Podobnie jest jednak w wielu innych miejscach pamięci na terenie Niemiec Zachodnich, a więc nie jest to jedynie sytuacja związana ze zjednoczeniem.

Spory wywołują też inne narodowe miejsca pamięci. Jednym z nich jest Nowy Odwach przy alei Unter den Linden, a to ze względu na zamysł ponownego wystawienia posągów pruskich generałów-reformatorów. Innym przykładem jest pomnik *Holocaustu* w Berlin Mitte, w bezpośrednim sąsiedztwie Bramy Brandenburskiej i hitlerowskiej kancelarii Rzeszy. Jeszcze więcej emocji wywołują plany muzeum *Holocaustu* w Berlinie, przygotowane przez biuro projektowe z Hanoweru. Debata ta jest symptomatyczna, nie z przyczyn estetycznych czy merytorycznych, ale dlatego, że ukazuje ona podejście nowoczesnego społeczeństwa do miejsc pamięci.

Najwidoczniej w czasach *talk-show* podnieca nas nie tylko zajmowanie stanowiska, ale przede wszystkim zmuszanie innych do wyraźnego opowiedzenia się. *Talk-show* nie zmierza do utrwalenia czegokolwiek, ale do odkrycia, zdemaskowania, nawet jeśli pozostawia się rozmówcy możliwość ucieczki czy wyjścia. Spór o pomnik pozostaje z tym w jaskrawym kontraście. A to dlatego, że pomnik pozornie utrwała jakieś wydarzenie i każe mu przybrać sztywną formę, która w najlepszym przypadku dawać będzie stale impuls do opamiętania, a w przyszłości całkowicie utraci swe znaczenie.

Kiedyś pomniki nie będą już nic mówiły. A mimo to należy je stawiać. Przed ustawieniem są one przedmiotem wielostronnej dyskusji, dotyczącej ich tematu, formy artystycznej, znaczenia historyczno-politycznego. Komisje decydują o ich sfinansowaniu, wyborze i realizacji. Inscenizują one procesy poszukiwawcze. W fazie tworzenia się pomniki są wyrazem swojej koncepcji. W sposób przekonujący aspekt ten ukazał Peter Reichel w swoim studium *Politik mit der Erinnerung*. Pasjonująca jest długa droga realizacji, krótki dreszcz urzeczywistnienia i zadziwiająco bezskuteczny oddźwięk jakiegoś wydarzenia, które – wystarczy pomyśleć o Nowym Odwachu – bardziej dzieli społeczeństwo niż jednoczy.

W Niemczech mamy do czynienia ze specyficzną sytuacją, ponieważ chodzi o zrośnięcie się ze sobą dwu przez czterdzieści lat zorganizowanych w państwa i odpowiednio stabilnych społeczeństw. Obydwa państwa niemieckie w toku swojej historii konstruowały i celebrowały własne tradycje historyczne. A teraz stoją przed zadaniem odniesienia do siebie, upodobnienia odmiennych obrazów historii, konkretyzujących się nierzadko w symbolach, rytuałach i pomnikach. Oznacza to albo ich usunięcie albo też akceptację w stopniu, który umożliwiłby stopniowe upodobnianie. Wątpliwości nie budzą przy tym pomniki ku czci poległych żołnierzy radzieckich, ponieważ są one szczególnie chronione w ramach układów, które umożliwiły przystąpienie do federacji pięciu nowym krajom. Zapewnia to istnienie pomników radzieckich przy Bramie Brandenburskiej czy w Berlinie-Treptow. Również placówka utworzona na bazie dawnego muzeum

kapitulacji w dzielnicy Berlina Karlshorst nie jest przedmiotem sporów politycznych.

Historycy uczestniczą w sporach o stawianie pomników i budowę miejsc pamięci pilnie i z zadziwiająco dobrym samopoczuciem. Dowodzą oni na swój sposób, że historia może stać się nauką polityczną. Oczywiście historia była zawsze w jakiś sposób polityczna. Zasadnicza zmiana staje się jednak widoczna na przykładzie motta ostatniego zjazdu historyków. O ile wcześniej włączano się z argumentami historycznymi w spory polityczne, o tyle teraz „historia” rozumiana jest coraz bardziej jako „argument” *sui generis*. Także i przeciw temu trudno byłoby protestować, gdyby chodziło o materię historyczno-filozoficzną i o korzyści płynące z doświadczenia. Tymczasem często historykowi nie chodzi o argument, ale o politykę. Jest to najwyraźniej następstwo coraz głośniejszych żądań polityków, kierowanych pod adresem niektórych historyków.

Politycy podkreślają wciąż na nowo nadające sens, budujące jedność i pojednawcze oddziaływania „historii” i uznają je za zadanie dla historyków. Historycy widocznie dobrze wykorzystują to żądanie, gdyż po doznanych porażkach późnych lat 60. obecnie daje się zaobserwować, że pomimo kryzysu, w jakim znalazło się kształcenie nauczycieli, historia jako nauka wychodzi zwycięsko z rywalizacji z naukami społecznymi. Nie jest to następstwo solidności metodologicznej – nauka historii jest dziś równie solidna jak przed dwudziestoma laty – ale raczej następstwo faktu, że argumentacja historyczna jest w stanie szczególnie silnie sprostać funkcji upolityczniania.

Na temat historii można świetnie dyskutować, gdyż spór ten jest nie tylko stosunkowo tani – w środkach masowego przekazu finansuje się sam z siebie – ale także nie wywołuje on z reguły jakichkolwiek ważkich skutków dla autopercepcji politycznej. A to dlatego, że historia jest tylko do pewnego stopnia elementem polityki, a argument historyczny daje się pozbawić ostrości. To łączy spory o znaczenie historii, manifestujące się często w kłótniach o miejsca pamięci, z *talk-show*.

Kontrowersje historyczno-polityczne nabrały w zjednoczonych Niemczech nowego wymiaru. Chcę spróbować ukazać oczekiwania ze strony polityki. Chciałaby ona, aby historia nabrała dużego znaczenia jako punkt wyjścia dla autopercepcji społeczeństwa, jego gotowości do kompromisu, być może nawet jego gotowości do ofiar. Wobec takiego normatywnego uzasadnienia nauki historii należałoby spytać, co by się stało, gdyby spory historyczne w rzeczywistości nie służyły tworzeniu czy wspieraniu konsensu, ale pogłębianiu polaryzacji społecznej i politycznej? Jest to wyraźnie widoczne na przykładzie tzw. kampanii czerwonych skarpetek (*Rote-Socken-Kampagne*), która przede wszystkim na zachodzie służyła mobilizacji przeciwko wschodowi Niemiec. Na wschodzie natomiast oddziałuje niekiedy demobilizująco, przyczynia się do absencji wyborczej, a u niektórych wywołuje efekty solidarystyczne, które mogą w jakimś stopniu wyjaśnić sukcesy *PDS*.

A jednak, jeśli przyjrzymy się bliżej, to nic właściwie nie przemawia za tym, że historia miałaby służyć budowaniu tożsamości i konsensu. Teza ta odzwierciedla pluralizm grup, wielość wyznań politycznych, mnogość utopii funkcjonujących w wysoce zindywidualizowanym społeczeństwie. Pluralizm ukazuje historię, wyróżniającą się nie homogenicznością, ale właśnie heterogenicznością. Skąd zatem miałaby pochodzić oczekiwana funkcja budowy jedności. Tym bardziej że nasze pluralistycznie zorganizowane społeczeństwa wykluczyłyby jakąkolwiek możliwość politycznie umotywowanej homogenizacji.

„Interpretacje historyczne” nie prowadzą w pluralistycznym społeczeństwie do budowy jedności ani do tworzenia wspólnego sensu. Nie jest w stanie tego uczynić nawet propaganda historyczna, wywołująca regularnie sprzeczności. W najlepszym wypadku interpretacje historyczne dostarczają materiału dla opisu procesów, udanych lub zakończonych porażką. Przy czym nawet taka jakościowa ocena zależy od perspektywy oceniającego. Dlatego też naiwnością byłoby sądzić, że można zbudować wokół pomników i miejsc pamięci wspólną ideę, która przyczyni się do zniesienia podziałów. Wręcz przeciwnie: interpretacje historyczne z powodu sprzeczności na jaki natrafiają, wykazują często tendencję nieutrwalania się w formie obrazów historii. A w każdym razie także i ten proces posiada ograniczony charakter.

Również w obu państwach niemieckich tworzą obrazy historii, wyróżniające się choćby podejściem do ruchu oporu, odrzuceniem państwa nazistowskiego i zawierające pewne elementy wspólne. Obrazy historii stanowią konstrukcje i wymagają jasnego przedstawienia. Często dokonuje się to poprzez ustalenie, decyzję polityczną. Budowa jakiegoś monumentu, utworzenie miejsca, zorganizowanie święta może być rezultatem takiej decyzji. Ceremonia w Bitburgu nie była konsekwencją jakiegoś wydarzenia historycznego, które odbyło się w konkretnym miejscu, ale następstwem przypadku – każdy inny cmentarz żołnierski mógłby służyć temu samemu celowi. Także wyznaczenie na 27 stycznia dnia wspomnień o zbrodni ludobójstwa jest dziełem przypadku.

Myli się ten kto wierzy, że interpretacje historyczne, nawiązujące do miejsc pamięci i pomników, mogą prowadzić do pojednania. W rzeczywistości wiodą one do konfliktów – zmierzających nierzadko aż do katastrofy – a to dlatego, że każda współczesna interpretacja przeszłości musi dotykać także i tych pozycji, które wspierały miniony rozwój. Były one zawsze bojowe, dynamiczne, gotowe do ofiar i bolesne. Ukazują to debaty na temat wielkich rewolucji historycznych, o niewolnictwie, industrializacji. W większości z nich nie chodzi przy tym o fakty, ale o zajmowanie stanowiska.

Sprzeczności historii tworzą granice pamięci. A mimo to dla zwartości społeczeństwa bardzo ważne jest także poszukiwanie elementów wspólnych. Dlatego nie powinno właściwie dziwić, że wspomnianie o wydarzeniach z przeszłości służy współczesnym próbom politycznego kształtowania rzeczywistości. Nie sposób tego nie dostrzec. Zjawisko to nie doczekało się jednak odrębnej



analizy, być może dlatego, że historycy są zarazem jego przedmiotami i podmiotami. Przecież próba politycznego zinterpretowania przeszłości oznacza zarazem wywieranie wpływu na opinię publiczną i polityczne kształtowanie woli. Wywarcie wpływu na obraz historii ukierunkowane jest na współczesną politykę, a to prowadzi nieuchronnie do inscenizowania pamięci.

W 1990 r. Berlin przeżył wiele takich inscenizacji. Każde częściowe wycofanie się aliantów było świętowane i celebrowane poprzez wystawy, otwieranie muzeów, uroczystości, a nawet przez szczególnie okazałą paradę wojskową. Wątpliwości budziły jedynie kwestie językowe: żegnano „zachodnie mocarstwa protegujące” (*Schutzmächte*) i „sowieckie mocarstwo okupacyjne” (*Besatzungsmacht*). Już te pojęcia ukazują stan ducha panujący w jednoczących się Niemczech. Bo przecież część obywateli wschodnich Niemiec miała trudności z wytłumaczeniem sobie, dlaczego zachodnie mocarstwa miałyby być dla nich „mocarstwem protegującym”. W sposób widoczny świętował zachód Niemiec; wschód czuł się raczej podmiotem świętowania. Ta wielowymiarowość, której nie wolno mylić z ambiwalencją, związana jest bez wątpienia z próbą historycznego zalegitymizowania współczesnej polityki.

Można to wyraźnie ukazać na przykładzie rocznicy kapitulacji *Wehrmachtu*. Analiza prasy wykazuje, że w 1955 r., w dziesięć lat po zakończeniu wojny, prawie wcale nie wspomniano publicznie o tym wydarzeniu. Rezonans społeczny był niewielki również w 1965 r. Zmieniało się to powoli w 1975 r., a w 1985 r. doprowadziło do tłumionych kontrowersji, które zostały zakończone integracyjnie oddziałującą mową prezydenta. W dziesięć lat później wybuchł spór o pamięć o końcu wojny. Najpierw głos zabrał Alfred Dregger. Jednakże na pierwsze strony gazet dzień ten trafił przede wszystkim wskutek kampanii ogłoszeniowej zorganizowanej przez grupę zebraną wokół Reiner Zitelmann. Przy czym chodziło jedynie o następstwa, a już nie o niemiecką odpowiedzialność za wojnę zaczepną, o winę i cierpienia po 1945 r.

Przykład ten ukazuje, że rozliczenia z przeszłością mogą stanowić obciążenie, wręcz niebezpieczeństwo dla społeczeństwa, stojącego przed ogromnymi problemami integracyjnymi. Spory o uczczenie 8 maja 1945 r. doprowadziły bowiem ponownie, tak jak to już miało miejsce w związku z 50. rocznicą zamachu z 20 lipca 1944 r., do konfrontacji obu niemieckich obrazów historii. W związku ze świętem 8 maja 1995 r. stało się jasne, że od zjednoczenia Niemcy wstrząsane są przez kontrowersje historyczno-polityczne. Ukazują to spory o Nowy Odwach, debata o pomnik *Holocaustu*, kontrowersje wokół podejścia do historii NRD.

Spory wokół dni i miejsc pamięci mające miejsce w jednoczących się Niemczech uzmysławiają jak ogromne znaczenie dla mobilizacji politycznej posiadają kontrowersje historyczno-polityczne. Są one, jak to już wcześniej w nawiązaniu do Gramsciego podkreślał Peter Glotz, ważnym instrumentem w walce o hegemonię polityczną. Wątpliwe jest przy tym czy ten schemat

konfliktu, dotyczący społeczeństw państwowo skonsolidowanych, może odnosić się też do jednoczących się społeczności, stojących dopiero przed zadaniem przezwyciężenia własnej integracji. Kontrowersje historyczno-polityczne są przydatne politycznie, ponieważ służą mobilizacji. W ramach polityki integracji wydają się one jednak ryzykowne, ponieważ sprzyjają tworzeniu gett mentalnych i zamkniętych środowisk. Spór o historię skierowany jest w ostatecznym rozrachunku na historycznie ukształtowaną autopercepcję obu społeczności niemieckich. Jednak skutek stosunków większościowych jest on zawsze skierowany przeciwko Niemcom wschodnim, którzy w związku z własnymi sprzecznościami wewnętrznymi spierają się zaciekle o własną historię.

W sporach o miejsca pamięci nie chodzi jednak wyłącznie o politykę historyczną, o politycznie zainscenizowane wspomnienie, ale także o rolę historyka we współczesnym zjednoczonym społeczeństwie. Jego zadaniem jest troszczyć się o minioną rzeczywistość, która jest już zakończona i tylko skutek interpretacji może zyskać nową wartość. Te oceny zależą od aktualnych układów, od nastrojów, także od procesów politycznych. Być może historyk zbyt lekkomyślnie przyjmuje takie ramy dla swej pracy. Zachowuje się wtedy, by użyć dziewiętnastowiecznych terminów, jak fornał dający obrok ogierowi, na którym ma cwałować naród.

Być może jednak istnieją szanse na rozwiązanie alternatywne. Za jeden z najważniejszych warunków pamięci uznaje się obserwację minionej, możliwie niepodzielnej rzeczywistości. Mogłoby to stanowić szansę dla historyka. Ponieważ dopiero wyraźne przedstawienie minionych faktów, ich uświadomienie może rozbudzić refleksję o znaczeniu wydarzeń z przeszłości. Przy czym w przypadku historii najnowszej, dla ludzi, którzy tę przeszłość osobiście przeżyli, chodzi często o wydarzenia stanowiące element składowy teraźniejszości.

Rekonstrukcja minionych faktów, wydarzeń i procesów jest zadaniem nauki historii, pozostającej zarazem pod wpływem interpretacji, mających kształtować refleksje na temat przeszłości. Ta ambiwalencja dziejów najnowszych, ich bycie zarazem historycznie zamkniętym wydarzeniem i pozostającą w świadomości historią, wyjaśnia bez wątpienia ich szczególną aktualność. Bliskość czyni historię najnowszą przeszłością, która wciąż „wypuszcza kłęby dymu”, wyjaśnia jej kontrowersyjność i znaczenie polityczne. Badania i interpretacje z zakresu historii najnowszej nabierają często nieuchronnie charakteru politycznego. I dlatego właśnie kontrowersje na ten temat są niezbędne i potrzebne.

Badania z zakresu historii najnowszej stają się elementem politycznym zawsze wtedy, gdy chodzi o wspomnianie związane z przewartościowaniem historii. Często jest to interpretowane jako „przezwyciężanie przeszłości” (*Bewältigung der Vergangenheit*) lub jako „uporanie się z winą” (*Schuldverarbeitung*) i dlatego może wzbudzać wątpliwości. Nierzadko przypisuje się refleksji historycznej wręcz zadanie przezwyciężenia przeszłości, czemu towarzyszy regu-

larnie zastrzeżenie, że historia nie daje się przewycięzać, w znaczeniu „załatwiać”, ale że można ją jedynie znosić. Funkcją miejsc pamięci jest pozostawianie kwestią otwartą interpretacji przeszłości. Otwartość ta dotyczyć ma właśnie refleksji o winie i odpowiedzialności i odnosić się nie tylko do przeszłości, która jest już w jakiś sposób zamknięta, ale także do tej historii, która jeszcze nie minęła i która zmusza do refleksyjnego podejścia przez potomnych.

Z pewnością: zawężenie kontrowersji wokół dziejów najnowszych jedynie do kwestii winy jest problematyczne. Bo przecież interpretacjom historycznym nie może chodzić jedynie o wyznanie winy kolektywnej, ale o świadome przyjmowanie przeszłości, stanowiące warunek wewnętrznego rozrachunku z historią, a zwłaszcza o refleksje związane z odpowiedzialnością jednostki za procesy historyczne. Miejsca pamięci dokumentują gotowość do konfrontacji ze skutkami historii. Badania z zakresu historii najnowszej są jednak nieuchronnie spychane w kontekst etyczny i stawiane przed zadaniem wpływania na wychowanie człowieka. Wyrazem tych usiłowań jest zarówno hasło „nigdy więcej”, jak i żądanie, aby niedopuszczać do powstawania zła.

Następstwem poddyktatorskich przełomów, w których wzrasta potrzeba tworzenia miejsc pamięci, jest jednak bez wątpienia także proklamowanie nowego obrazu historii czy świadomości historycznej, mającej pomóc w wyjściu z cienia najnowszej przeszłości. Również w przypadku tego zadania etycznego chodzi o pytanie o odpowiedzialność jednostek, grup i warstw społecznych za procesy, które wywołały specyficzne następstwa i oddziałują na teraźniejszość. Historyk poddawany jest tym oddziaływaniom moralności, cierpienia i zainteresowania. A jeśli się im podda, to utraci dystans i utonie w zaangażowaniu.

Jeśli określimy historię najnowszą w sposób skrótowy jako przeszłość osób współczesnych, to współczesność poprzez różnorodność biografii odbija złożoność przeszłości. Współczesność w społeczeństwie pluralistycznym odzwierciedla zarazem różnorodność historycznych postaw i interpretacji, co z kolei stanowi wyraz nieprzejrzystości historii. Także i to ukazać można na przykładzie uroczystości z 8 maja 1995 r. Doszło tu do zderzenia się ze sobą najróżniejszych biografii – żołnierzy, wypędzonych, ofiar, zwolenników systemu, uciekinierów, Niemców ze wschodu i z zachodu, co znacznie obciążyło dzień pamięci. Wystarczy spróbować przejrzeć różnorodność poszczególnych biografii, mnogość doświadczeń specyficznych dla całej generacji, dla poszczególnych grup i wyznań, wielość przeżyć mieszkańców różnych krain. Wiele obiegowych kategorii, opartych na przeciwieństwach, znanych nam z politycznych debat o historii, takich jak podział na sprawców i ofiary, załamuje się pod wpływem wielości odniesień biograficznych. Ogranicza to mocno pamięć i decyduje o akceptacji miejsc pamięci. Z kolei ta akceptacja zależna jest od ocen, które nie zawsze czerpią swą siłę przekonywania z samych tylko miejsc.

Szczególne trudności pojawiają się wtedy, gdy napięcie pomiędzy dystansem i zaangażowaniem nie zostaje produktywnie opracowane, ale jedynie polemicznie „rozładowane”. Niektóre z kontrowersji, jakie w minionych latach toczyły się wokół znaczenia historii najnowszej, dają się wyjaśnić jedynie jako rezultat pomieszania ze sobą dystansu i zaangażowania. Działo się to ze szkodą dla naukowej historii najnowszej, która niejednokrotnie nie mogła badać tego co było, ale pozostawiała w tyle wielkie kontrowersje publicystyczne i polityczne, wręcz brała udział w ich inscenizowaniu.

Na koniec mogę tylko wyznać moją bezradność wobec problematyki, która manifestuje się w niemieckich kontrowersjach wokół miejsc pamięci. Debata ta toczy się, nie posiada jednak po stronie zachodniemieckich uczestników jakiegokolwiek jednoznacznego punktu ciężkości. Starania o wschodniemieckie miejsca pamięci ukazują, że z pewnością także i w przyszłości powstawać będą specyficzne placówki i monumenty odzwierciedlające wolę Niemców Wschodnich, aby zмагаć się ze swą własną, dotyczącą ich osobiście historią dyktatorską. Na razie jednak widać tylko, że oddziaływanie polityki wspomnień wykorzystywane jest przede wszystkim przez partie zachodnie. Zwłaszcza CDU integruje celowo członków enerdownskiej opozycji. W ten sposób uwidacznia się to, że miejsca pamięci są obiektami kształtowania politycznego, że historia nie jest elementem politycznym *sui generis* czy *per se*, ale że jest upolityczniana. Jest ona polem walki o polityczne wpływy na systemy interpretacyjne w publicystyce, kulturze, oświacie i nauce. Te roszczenia są wyraźnie widoczne choćby w fakcie utworzenia *Enquete-Kommission*, specjalnej komisji zajmującej się dziejami NRD, inspirującej badania, ale także próbującej tworzyć schematy interpretacyjne.

Źle by było, gdyby kontrowersyjne podejście do miejsc pamięci i akcentujące konflikt podejście do wspomnień miało prowadzić do utrwalenia się historyczno-politycznych przeciwieństw niemiecko-niemieckich czy nawet do dalszego oddalania się od siebie Niemców ze wschodu i z zachodu. Oznaczałoby to, że polityka historyczna mniej służy tworzeniu wspólnej świadomości historycznej, a bardziej stabilizowaniu specyficznych środowisk regionalnych. W dłuższej perspektywie czasowej nie doprowadzi to z pewnością do trwałego rozbitcia mentalności politycznych. Jednak szansa ukierunkowania niemieckich miejsc pamięci – istniejących, odnoszących się do czasów nazistowskich i nowych, wspominających czasy NRD – na zastanowienie się nad Niemcami w czasach dyktatur, zostałaby zaprzepaszczone. A do ofiar polityki wspomnień, ograniczającej się do przedstawiania samokrytycznych ofert refleksyjnych i oddającej w służbę polityki partyjnej, należałoby także historycy.

Tłumaczenie: Maria Tomczak